

Paweł Biliński

Złote Pawie i Węże, czyli polskie antynagrody filmowe

Andrzej Wajda przy okazji *Lotnej* (1959) zwykł opowiadać: „W trakcie realizacji, zwłaszcza zaś w czasie zdjęć, słuszniej jest mówić: nasz film (...), natomiast w przypadku klęski reżyser musi powiedzieć śmiało: to mój film. Kiedy przed laty zrobiłem film *Lotna*, w kilka dni po premierze kupiłem wszystkie możliwe gazety, usiadłem w parku na ławce i przeczytałem hurtem recenzje. Były druzgocące. Po sukcesie *Popiołu i diamentu* oraz *Kanału* była to twarda LEKCJA [podkr. P.B.]; sam zresztą wiedziałem, że w *Lotnej* popełniłem wszystkie możliwe błędy. Ale było w tym filmie coś, co odróżniało go od wielu innych: jakaś oryginalność, odrębność, ważniejsza niż w moich wcześniejszych filmach, udanych i chwalonych. Postanowiłem spojrzeć na sprawę inaczej: moje błędy są oryginalnością, a zalety rutyną, która jest udziałem i innych reżyserów. *Lotna* nie stała się dzięki temu lepsza, ale ja zacząłem się zastanawiać nad sobą: nad tym, co lubię, co umiem zrobić, co sam chciałbym zobaczyć na ekranie. Od lat w wyobraźni ulepszam, poprawiam i przerabiam ten film, i jest to jedyna rzecz, którą chciałbym zrobić raz jeszcze. Kocham to nieudane dziecko i zawsze nazywam je »moim«. Analizując *Lotną*, zrozumiałem, że moje wady są oryginalne, a zalety banalne. Jest to dobre i ważne odkrycie, pod warunkiem że w swoich wadach nie zakochasz się za bardzo” (A. Wajda, *Kino i reszta świata*, Kraków 2000, s. 288–289).

Przywołuję tu obszerniejszy fragment ze względu na ukazany, niejako mimochodem, stosunek reżysera do krytyki filmowej. Symptomatyczne, że oceny recenzentów, tutaj niewymienionych z imienia i nazwiska, są dla Wajdy wymierne – to od nich zależy, czy rzeczywiście *Lotna* jest, jak mogło się autorowi wydawać, filmem nieudanym, czy też raczej sam w trakcie pracy nad utworem nie był w stanie się od niego zdystansować. Zatem krytyk filmowy staje się kimś, kto jest w stanie dać LEKCJĘ młodemu reżyserowi, kimś, kto mając wiedzę i gruntowne przygotowanie merytoryczne do wykonywania zawodu, może podzielić się swoją opinią profesjonalisty.

Złote Pawie

Na Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni jeżdżę od kilku lat, zaś wśród informacji na temat konkretnych nagród z największą niecierpliwością oczekuję na werdykt

dziennikarzy (oprócz, rzecz jasna, Złotych Lwów). Patrząc na ostatnie lata, można stwierdzić, że nagroda ta niemal zawsze trafia w najwłaściwsze, moim zdaniem, ręce. To, że dziennikarze mieli – i wciąż mają – otwartą furtkę, by przyznawać swoje wyróżnienie, zresztą już od drugiej edycji, tj. 1975 roku, stanowi niemal oczywiste uzupełnienie nagród wręczanych na podstawie decyzji powoływanego corocznie jury. Nikt jednak nie przewidział rozwoju wypadków i tego, co nastąpiło w roku 1996. Wówczas nie tylko po raz czwarty nie przyznano głównej nagrody – co zresztą w trakcie ceremonii skwapliwie skomentował Juliusz Machulski, twierdząc, że „jeśli filmowcy sami siebie nie nagrodzą, to nikt ich nie nagrodzi” – ale też 21. edycja zapisała się w historii jako ta, gdy dziennikarze postanowili przyznać, obok swojej corocznej nagrody dla najlepszego filmu (wygrał *Cwał* Krzysztofa Zanussiego), również wyróżnienie specjalne – Złotego Pawia dla filmu najgorszego (uhonorowano *Deszczowego żołnierza* Wiesława Saniewskiego).

Choćby pobieżny przegląd prasy, jak i relacje z drugiej ręki świadczą dobitnie o znaczeniu tego wydarzenia. Niezwykle słabą formę polskiego kina krytycy postanowili w pewnym stopniu podsumować. Rzeczywiście, filmy startujące w głównym konkursie nie były najwyższych lotów. Wystarczy spojrzeć na średnią ocen *Twierdzy szczurów* Andrzeja Jasiewicza, *Dziejów mistrza Twardowskiego* w reżyserii Krzysztofa Gradowskiego czy oceny przyznane filmowi *Wirus* Jana Kidawy-Błońskiego (zaledwie jedna „trójka” przy dziewięciu niedostatecznych) przez krytyków w rankingu miesięcznika „Kino”. Do tego swoje niezbyt udane utwory w trakcie festiwalu zaprezentowali tak uznani realizatorzy, jak Andrzej Żuławski (*Szamanka*), Robert Gliński (*Matka swojej matki*), Radosław Piwowarski (*Autoportret z kochanką*), Władysław Pasikowski (*Słodko-gorzki*) i Feliks Falk (*Daleko od siebie*). Co ciekawe, uznawana dziś za kuriozalną *Panna nikt* Wajdy – który to film reżyser po latach uznał za porażkę – znajduje się w rankingu „Kina” całkiem wysoko (3. miejsce), co również jest w pewnym stopniu wymowne. W tym kontekście osobliwy bunt dziennikarzy, którzy jednogłośnie zdecydowali o przyznaniu wyróżnienia dla najłabszego obrazu w konkursie, może dla wielu wydać się usprawiedliwiony. Ten cios obuchem w nadmuchany balon polskiego środowiska filmowego nie mógł jednak, co oczywiste, pozostać niezauważony – zarówno przez samych filmowców, jak i rozmaitych publicystów czy komentatorów.

Pomysł wyróżnienia dla najgorszego filmu nie jest w żadnym wypadku nowością – także na gruncie polskiej kinematografii. Już kilka lat wcześniej, bo w 1984 roku, dziennikarze podczas gdańskiej edycji festiwalu wskazywali *Kamienne tablice* Czesława i Ewy Petelskich jako najmniej udane dzieło. Ów werdykt nie spotkał się, zapewne z przyczyn

politycznych, z szerszą reakcją ze strony filmowców czy reprezentantów prasy (nie można było nagłaśniać tej informacji). 12 lat później głośno dyskutowali już wszyscy, osiłą sporu czyniąc stosunek dziennikarzy do filmowców i *vice versa*.

Zastanawiano się też nad samą nazwą dla nagrody: wśród proponowanych znalazły się Bursztynowy Paw, Wielki Gniot, Paw Bałtyku. Ostatecznie zdecydowano się na Złotego Pawia. Warto jednak wspomnieć, że nagroda nie miała żadnej postaci materialnej, a jedynie znaczenie symboliczne. Samo wyróżnienie, niejako godzące bezpośrednio w autora filmu, okazało się jednak na tyle doniosłe, że wielu poczuło się w obowiązku odnieść się do tego pomysłu i wyboru.

Na łamach „Kina” krytycy wspominali: „Złoty Paw należał się nie tylko *Deszczowemu żołnierzowi*. Może dlatego z Wrocławia dobiegają kuriozalne skargi od laureata”, zaś Bożena Janicka podsumowała w następujący sposób poziom konkursu: „Nie mam odwagi policzyć, ile kosztowała realizacja 12 tytułów zgłoszonych do nagrody dziennikarzy dla najgorszego filmu konkursu. I rzecz nie w tym, że filmy pokazano w konkursie, lecz że mogły powstać”. Z kolei Jacek Szczerba dowodził „stanu zapaści” rodzimej kinematografii, która w 1996 osiągnęła swoje dno – zdaniem krytyka polskie kino od dawna nie miało tak mizernych scenariuszy, na dodatek tak źle wyreżyserowanych i przedstawionych później na ekranach. Złoty Paw był wyrazem sprzeciwu wobec „kieślowszczyzny” i liczby pretensjonalnych obrazów startujących w Gdyni.

Saniewski zaszczyty

Z wiadomych względów nie wszystkim pomysł z Pawiem się spodobał. Jako pierwszy zbuntował się sam laureat, Wiesław Saniewski: „Tego, co się wydarzyło podczas projekcji mojego filmu na festiwalu w Gdyni, nie odnotowano w historii tej imprezy – wspominał w trakcie konferencji prasowej. – Od pierwszych minut seansu trzaskano drzwiami, śmiano się, przedrzeźniano dialogi, wytupywano film. Odebrano mi prawo do wypowiedzi. Nie dano publiczności szansy obejrzenia filmu”. Według Saniewskiego ta reakcja w trakcie pokazu ma związek z pozycją reżysera w środowisku filmowym. Oskarżenia kierowano jednak również pod adresem krytyków, którym autor zarzucił nierzetelne podejście do swojego dzieła: „Osaczony czułem się już od czasów realizacji *Nadzoru*, ale teraz naprawdę poczułem się nie na swoim miejscu”.

Za Złotego Pawia krytycy dostali baty również od osób niezwiązanych ze środowiskiem filmowym. Jan Miodek stwierdził, że dziennikarze to „kłębowisko żmij”, zaś

pomysł obdarowania kogoś „wykrztuśnym” wyróżnieniem za najgorszy film nazwał „iście szatańskim”. W podobnym tonie, choć przy użyciu mniej dosadnym określeń, pisał Jacek Kuroń: „Jeśli dziennikarze niszczą już na starcie film (...) niewątpliwie ambitny, to generalnie zniechęcają twórców do eksperymentu”. Z kolei Andrzej Szczypiorski zaznaczał, że przyznawanie podobnej nagrody to „chamstwo i głupota”, a także „przejaw nieopisanej pychy”, bo każdy twórca zasługuje na szacunek i życzliwość ze strony piszącego recenzje. A że od niedawna to się zmieniło, to „stan krytyki artystycznej” jest w „głębokim kryzysie, nie tylko w zakresie myśli, lecz także w kwestiach porządnego wychowania”.

Warto odnotować opinie popierających wspomnianą inicjatywę, tj. Złotego Pawia. Wypowiedział się w tej sprawie między innymi członek jury konkursu głównego, operator Wiesław Zdort. Tłumacząc decyzję o nieprzyznaniu nagrody głównej – którą również uznano za co najmniej kontrowersyjną – w liście do „Kina” pisał tak: „Profesjonalne, bezstronne jury chciało skierować uwagę nie tylko na filmy i twórców, ale i na złą sytuację naszego kina. (...) Jedyną »karę« w postaci Złotego Pawia dziennikarzy (...) oprotestowali zresztą natychmiast żarliwi obrońcy wszelkich uciśnionych”. O tych ostatnich wspominał Zdzisław Pietrasik, ironicznie nazywając to grono Komitetem Obrony Saniewskiego. „Oto jak zawsze, kiedy nasze kino przeżywa złą passę, winni okazują się dziennikarze i krytycy” – zaznaczała Janicka.

Wypada się zgodzić z recenzentką – praktycznie żaden z obrońców autora *Nadzoru* nie był w stanie udowodnić wysokiej jakości jego najnowszego filmu. Niektórzy zaś cieszyli się, gdy po pewnym czasie *Deszczowy żołnierz* został wyróżniony trzema nagrodami na festiwalu w Houston, co miało, zdaniem Macieja Zembatego, wręcz zabość tych, którzy w Gdyni przyznali Saniewskiemu Złotego Pawia. „Oliwa sprawiedliwa, zawsze na wierzch wypływa” – wspominał satyryk. „Życzę Saniewskiemu Oscara” – odpowiadał redaktor „Polityki”.

Filmowcy vs krytycy

Nie ulega wątpliwości, że wspomniane wydarzenie uwidoczniało podział istniejący między krytyką a filmowcami. Nawet jeśli obie grupy zgodne były co do miernego poziomu polskiego kina, to dyskusję nad jakością kolejnych utworów przysłoniła kłótnia o Złotego Pawia – „po co?”, „za co?”, „dlaczego akurat ten film?”, „czemu tego reżysera chcecie mieszać z błotem?”. Zdumiewa także stale powtarzany argument: „Nie wolno tak pisać, bo Sejm zabierze kinematografii pieniądze (...). Trzeba wykazać więcej pokory”. Tej pokory

zabrakło wielu reżyserom, których filmy startowały w konkursie głównym. „My nie umiemy opowiadać historii, tak jak oni nie potrafią pisać recenzji” – skwitował krótko całe zamieszanie Zanussi, jeden z nielicznych autentycznych zwycięzców w Gdyni.

Czy przyznanie Złotego Pawia skutkowało czymś pozytywnym? Na pewno nagroda była wyrazem bezsilności wielu odbiorców, którzy w ten sposób sugerowali, że zbyt wiele słabych filmów zostało zgłoszonych do konkursu. Do konsensusu pomiędzy dziennikarzami a filmowcami jednak nie doszło – czego akurat można było się spodziewać.

Złoty Paw, ze względu na liczne kontrowersje, okazał się niemal jednorazową inicjatywą. Piszę „niemal”, bo w roku 2000 nagrodę otrzymał Piotr Starzak za nieporadny gatunkowo film *Enduro Boż*, jednak – z wyjątkiem Jacka Bromskiego – nikt specjalnie wyróżnienia nie oprotestował. Złoty Paw umarł śmiercią naturalną.

Węże

Na kolejny pomysł przyznawania nagród za najgorsze filmy sezonu, tym razem inspirowany amerykańskimi Złotymi Malinami (Golden Raspberry Award), trzeba było czekać aż do 2012 roku. Wówczas Kamil Śmiałkowski, Krzysztof Spór (redaktor naczelny portalu Stopklatka) oraz Konrad Wągrowski (Esensja.pl) powołali do życia Węże, które swoją nazwę zawdzięczają kultowemu w wielu kręgach filmowi *Kłątwa doliny węży* (1987, M. Piestrak) – nieudolnej próbie naśladowania Kina Nowej Przygody spod znaku Indiany Jonesa. W przeciwieństwie jednak do Złotego Pawia pobudki pomysłodawców wydają się mieć inne podłoże.

Przed wszystkim Węże w żadnym wypadku nie są związane z FFFF w Gdyni. Przyznawane w dniu 1 kwietnia (jedynie w 2012 roku, bo 12 miesięcy później antynagrody rozdano 14 kwietnia) poprzedzone są listą nominowanych w kilku kategoriach: (najgorszy) film, aktor, aktorka, reżyseria, scenariusz, ekranowa para, film w 3D, żenująca scena, występ poniżej godności, komedia, która nie śmieszy, plakat, a także najgorszy efekt specjalny. Po drugie, marne szanse na nominację w powyższych kategoriach mają filmy niezależne – pomysłodawcy pod lupę biorą w pierwszej kolejności kino popularne. Węże, tak jak Złote Maliny, uderzają raczej w dzieła, których jednym z naczelnych celów (jeśli nie jedynym) jest zysk i pewne miejsce w rodzimym *box office*, kosztem sprawnego scenariusza, elementarnej logiki czy ledwie przyzwoitej gry aktorskiej. I tak jak w wypadku popularnych Malin, również i tutaj – jak pisał Konrad J. Zarębski – „chodzi o upuszczenie powietrza z dzieł, ich twórców i wykonawców o znaczeniu nadmiernie rozdętym w wyniku działań

marketingowych”. Wydaje się więc, że nawet nieudany *Deszczowy żołnierz* nie miałby szans w starciu z dzisiejszymi „pewniakami”: *Weekendem* (2010, C. Pazura), *Wyjazdem integracyjnym* (2011, P. Angerman) czy *Kac Wawą* (2012, Ł. Karwowski).

Opinia Idziaka

Powołanie Węży ucieszyło wielu krytyków, którzy z miejsca zostali członkami akademii przyznającej wyróżnienia. Z informacją o antynagrodach pospieszyły rozmaite media i – obserwując fora internetowe – także widownia przychylnie odnosi się do tej ironicznej inicjatywy. Wyjątkiem jest reakcja Sławomira Idziaka, autora zdjęć do *1920: Bitwy Warszawskiej* (2011, J. Hoffman), który na łamach „Gazety Wyborczej” zgłosił się z oficjalnym listem w tej sprawie. Według operatora, podobne antynagrody nie pomogą w promocji polskiego kina – mogą mu tylko zaszkodzić. Potencjalny widz, nieczytający recenzji filmowych, zasugerowany werdyktem Węży, prędzej wybierze utwór zagraniczny, odrzucając przy tym polski. Autor twierdzi, że nie sposób porównywać kinematografii amerykańskiej, gdzie przyznawane są Złote Maliny, z sytuacją kina w naszym kraju. U nas, ze względu na różnice finansowe, nie powinno się piętnować rodzimego filmu. Do obowiązków recenzenta należy więc pomoc w promocji danego dzieła, nie zaś nachalne i kopiujące zachodnie wzorce dyskredytowanie pracy twórców. Idziak uznaje, *summa summarum*, ideę Węży za czarny PR dla polskiego kina, zaś samych członków Akademii za osoby nierozumiejące podstawowej gramatyki filmu (wyróżnienie za najgorszą scenę nie powinno być przyznane Nataszy Urbańskiej), niewspierające debiutantów (trzy Węże dla Urbańskiej), a także podważające przemiany techniczne, jakie zachodzą w kinie światowym (format 3D).

Oprócz wypowiedzi pisemnej Idziaka doszło również do konfrontacji autora zdjęć ze Śmiałkowskim na łamach portalu Filmweb. Ich przeszło półgodzinna debata została zarejestrowana i umieszczona później na stronie internetowej. Obaj mieli się wypowiedzieć na temat swojego stosunku do Węży, jednak w dużej mierze rozmowa składa się głównie z monologów Idziaka. Monologów, z których jasno też wynika, że operator nie śledzi bieżącej sytuacji polskiego kina i nie czyta recenzji (choć mówi, że czyta). Nie zdaje sobie również sprawy, że widz bardzo często chodzi na polskie filmy – zarówno popularne (*Listy do M.*), jak i utwory trudniejsze/ambitniejsze (*Sala samobójców*, *Drogówka*). Co ciekawe, Węże, które mogły być inicjatywą jednorazową, przetrwały pierwszą próbę i już w połowie kwietnia 2013 roku nie tylko dotarły do nas informacje na temat kolejnych laureatów antynagród, ale też odbyła się oficjalna gala w warszawskim Teatrze IMKA, którą poprowadził Tomasz Karolak.

Znamienne, że wielu twórców zdecydowało się odebrać specjalnie zaprojektowane statuetki (m.in. Mariusz Pujszo za całokształt twórczości, Alessandro Leone – współproducent *Bitwy pod Wiedniem*, a także Jacek Samojłowicz – koproducent i jeden ze scenarzystów *Kac Wawy*), co można uznać za duży sukces organizatorów imprezy. Wszystko wskazuje na to, że w przyszłym roku uda się również zadbać o transmisję telewizyjną kolejnej ceremonii rozdania Węzy.

Lekcje odrobione?

Brak dystansu Idziaka czy też niezrozumienie idei polskich antynagród dobrze obrazuje stosunki, w jakich pozostają filmowcy oraz dziennikarze zajmujący się kinem. „Film Jerzego Hoffmana był bardzo słaby, ale czy trzeba to jeszcze podkreślać? Czy warto na siłę kopać leżącego?” – pytał retorycznie jeden z publicystów. Ale co zrobić, jeśli leżący (z naszej perspektywy) wciąż uparcie twierdzi, że ma prawo podnosić rękę w geście triumfu, wracać dumnie z tarczą po kilkutygodniowym oblężeniu multipleksów? Coraz mniejsze znaczenie recenzji filmowej – patrząc przez pryzmat rozmycia się granic pomiędzy krytykiem a niekrytykiem – mogło również skłonić dziennikarzy do powołania Węzy. Efekt osiągnięto – o nagrodach, jeszcze niebędących statuetkami – dowiedzieliśmy się z pierwszych stron największych portali internetowych.

Pytanie tylko, czy ta zamknięta w ramy ironii LEKCJA – o którą pytałem na wstępie – coś pomoże? Trzeba być naiwnym, żeby uwierzyć w likwidację, ostateczne zaprzestanie realizacji filmowych gniotów. Nie o to też chodzi. Wielu lubi przebieranie w śmieciach w rozmaitych celach – poznawczych chociażby. I wszystko wskazuje na to – co ma swoje zalety – że nadal będziemy w owych śmieciach buszować. Chyba że wcześniej z odbiorczego wycieńczenia puścimy pawia. Najlepiej złotego.